

Bieszczady były dla PRL tym, czym Dzikie Pola dla I Rzeczypospolitej, a wschodnie rubieże dla Polski międzywojennej. Krainą magiczną, nieco egzotyczną, oazą wolności przyciągającą niespokojne duchy

Kresy Polski Ludowej



KRZYSZTOF JÓZWIAK

Pod koniec lata 1947 r. w wielu rejonach Bieszczad zapanowała przejmująca cisza. Ostatnie transporty z przymusowymi przesiedleńcami wyruszyły na Ziemię Odzyskane i akcję „Wisła” uznano za oficjalnie zakończoną. Gwarne niegdyś wsie zamieszkiwane przez Ukraińców i Łemków opustoszały. Wiele osad całkowicie zniknęło z powierzchni ziemi, a o ich dawnych mieszkańcach przypominały już tylko cmentarze i drewniane cerkwie. Życie toczyło się swoim ustalonym torem jedynie w miejscowościach zamieszkiwanych przez Polaków i w nielicznych miasteczkach. Razem z ludźmi odeszła także wojna, terkot karabinów i wybuchy granatów, które od lat mąciły spokój bieszczadzkich dolin i lasów, uciły. UPA została pokonana. Dopiero wtedy tak naprawdę skończyła się tu II wojna światowa i Bieszczady stały się częścią PRL.

Właśnie ten stosunkowo krótki jak na wielowiekową historię tego rejonu, ale bardzo znamienity i brzemienny w skutki okres postanowił przybliżyć Krzysztof Potaczała w dwutomowym zbiorze reportaży zatytułowanym „Bieszczady w PRL. „To tylko garść spisanych wydarzeń, (...) garść opowieści o ludziach pochodzących z odmiennych światów – od chłopów i robotników, po inżynierów i prominentów, lecz połączonych wspólnym losem. (...) Nie ma w tym zbiorze poetyckich opisów połonin i rozciągających się z nich malowniczych krajobrazów. Jest opowieść o zdobywaniu gór, choć nie w dosłownym znaczeniu” – pisze we wstępie Potaczała. Autor opiera swoją wielowątkową narrację (chciałoby się powiedzieć gawędę) na relacjach świadków – ludzi, którzy w jakimś momencie swojego życia, kierując się różnymi motywacjami, pojawili się w Bieszczadach i w większości przypadków zostali już tam na stałe. Oczywiście jest to opowieść bardzo subiektywna, nieco chaotyczna, można się przyczepić do dosyć jednostronnego doboru rozmówców, kilku ważnych wątków ewidentnie brakuje, innych jest nieco za dużo, oderwać się od niej jednak nie sposób. Nie będę więc zaskoczony, jeśli za pewien czas pojawi się trzeci, a nawet kolejne tomy tej gawędy. Z pewnością okolice Cisnej, Baligrodu, Wetliny, Ustrzyk czy Lutowisk są dla dociekliwego dziennikarza istną kopalnią tematów, źród-

łem barwnych opowieści, które można ciągnąć niemal bez końca. Ponieważ jednak tyle czasu nie mamy, wybierzmy jedynie co smakowitsze kąski z bieszczadzkiej potrawy przyrządzonej przez Krzysztofa Potaczała.

Ustrzycki Stalin

Przez stulecia Bieszczady stanowiły część Rzeczypospolitej i nie miały charakteru stricte kresowego. Również podczas zaborczego interludium znalazły się w obrębie jednego państwa, czyli Austrii. Sztucznie wytyczona granica po raz pierwszy przecięła ten obszar po upadku II Rzeczypospolitej – podzielili go między siebie Niemcy i Sowiety. Po wojnie Stalin „wspaniałomyślnie” zgodził się wprowadzić drobne graniczne korekty, między innymi oddał Polsce Bieszczady Wysokie. Spora część tej krainy została jednak po stronie sowieckiej i w rezultacie Polacy mieszkający na przykład w Ustrzykach Dolnych musieli opuścić swoje domy. Nieoczekiwanie już kilka lat później dostali szansę po-

wrotu na ojcowiznę. Pod koniec lat 40. polscy komuniści dostali z Moskwy wyraźny rozkaz – w zamian za Ustrzyki Dolne, Lutowiska i Czarne Polska ma przekazać ZSRR rejon tzw. kolana Bugu, z miejscowościami Sokal, Bełz, Krystynopol, Uhnów. Rosjanom zależało na tym terenie, ponieważ był on bogaty w węgiel kamienny i żyzne czarnoziemy.

Jesienią 1951 r. do powiatu ustrzyckiego przybyły pierwsze tabory niepewnych przyszłości przesiedleńców. Widok, jaki zastali, był przygnębiający. „Błotniste drogi, ogołocone ze wszystkich sprzętów i zniszczone domy, zamiast chodników prymitywne dyłowanki, a wokół góry, które nie sprzyjały uprawie roli” – pisze Krzysztof Potaczała. Najbardziej szokował ich jednak pomnik Stalina górujący nad główną ulicą miasta. – Czy to na pewno Polska? – dopytywali niespokojnie Zabuzanie. Podobno niektórzy nawet po przydzieleniu kwater nie chcieli się rozpakowywać, mieszkali po kilka lat na walizkach, czekając z nadzieją powrotu do rodzinnego Sokala czy Bełza. Rodowici ustrzy-

nianie, wysiedleni stąd tuż po wojnie, a teraz powracający na stare śmiecie, także byli zdziwieni, jak bardzo władza sowiecka zapuściła ich miasto, i zde gustowani nową, trzymetrową „ozdobą” rynku.

O ile czas leczył rany i powoli nowi i starzy mieszkańcy Ustrzyk zapuszczali w tym miejscu korzenie, o tyle pomnik Stalina nie dawał wielu z nich spokoju. Już w 1951 r. trzech przesiedleńców z Sokalszczyzny, wracając z wieczornej popijawy, wpadło na pomysł, aby przebrać Stalina za stracha na wróble. Jak pomyśleli, tak zrobili. Ustrzycki Stalin wzbogacił się o robotniczą kufajkę i kartkę z napisem „Masz kufajku, weź maszynu, spieprzaj stąd, ty skurwysynu”. Bezpieka trafiła na trop dwójki ze sprawców. Po brutalnym śledztwie zostali skazani na rok i dwa lata więzienia. Bariera strachu została jednak przełamana. Akty sabotażu skierowane wobec kamiennego wizerunku sowieckiego przywódcy zdarzały się coraz częściej. A to ktoś powiesił mu na głowie wiadro, ktoś inny wetknął pod ramię miotłę, pewnej nocy nieznan sprawca położył pod pomnikiem przygnie-



FORUM/MIROSLAW STANKIEWICZ

cioną kamieniem kartkę z napisem „Idź skąd przyszedłeś”, później zniszczono fragment okalającego monument parkanu, w końcu któregoś nocy oblano go białą farbą.

Kiedy przyszła gomulowska odwilż 1956 r., los pomnika był przesądzony. Coraz częściej domagali się jego usunięcia uczestnicy licznych wieców robotniczych odbywających się w Ustrzykach i innych bieszczadzskich miejscowościach. W końcu decyzja o demontażu zapadła na posiedzeniu gminnego komitetu PZPR. Jak pomnik zburzono? Wersji jest kilka. Jedną z nich mówi, że dwóch mieszkańców Ustrzyk dokonało tego, obwiązując pomnik powrozami i ciągnąc go dwoma parami koni. Resztki monumentu wyładowały w pobliskim Strwiążu. Choć są i tacy, którzy twierdzą, że w dziurze z wapnem.

Pociągi pod sowieckim nadzorem

Przez ponad 30 lat, począwszy od 1963 r., pomiędzy Przemysłem

i Zagórzem kursował niezwykle pociąg. Niezwykły, bowiem na 42-kilometrowym odcinku jego trasa wiodła przez tereny należące do ZSRR. Skąd wziął się pomysł na tak niekonwencjonalne połączenie kolejowe? Przyczyna była prosta. Nowe, narzucone odgórnymi decyzjami polityków granice nijak się miały do tradycji, historii, a także infrastruktury regionu. Na terenie Bieszczad rozciąły one na trzy części starą, istniejącą jeszcze od czasów Austro-Węgier linię kolejową. Po wojnie przez długi czas była nieczynna, jednak na początku lat 60. XX w., komunistyczne władze Polski i ZSRR dostrzegły wspólny interes w jej reaktywacji. Usprawniono w ten sposób komunikację między miastami leżącymi na południowym wschodzie Polski i jednocześnie ułatwiono wymianę handlową między obu państwami.

Oczywiście krótka „wycieczka” do Kraju Rad odbywała się na specjalnych warunkach. Po przekroczeniu granicy do pociągu wkraczali Rosjanie. „Na schodach wagonów stali pogranicznicy, kolejni z psem patrolowali skład od wewnątrz. Pasażerom nie wolno było

otwierać okien, jeśli zaś podróżny wyrzucił na zewnątrz choćby paperek, strażnik natychmiast chwycił za hamulec. Pociąg stawał w szczerym polu i zaczynało się śledztwo” – pisze autor książki „Bieszczady w PRL”. Takie przymusowe postoje zdarzały się nader często, choćby z tego powodu, że wielu pasażerów, widząc zabiedzone, obdarte dzieci przesiadujące wzdłuż torów, rzucalo im z okien jedzenie.

Dla wielu podróżnych wyprawa „strzałą południa”, bo takim ironicznym mianem (pociąg włócił się niemiłosiernie) ochrzczono skład, była wyprawą sentymentalną. Ci, którzy pochodzili z Dobromila czy Chyrowa i po wojnie zostali zmuszeni do opuszczenia rodzinnych stron, kiedy tylko pociąg wtaczał się w granice którejś z tych miejscowości, przywierali do szyb i z tęsknotą, często ze łzami w oczach, śledzili przesuwaną się za oknami widoki. Potaczała: „Jechali (...) po to, by się napatrzeć i nie zapomnieć. W takie sentymentalne wojaże wyprawiali się nieraz rokrocznie – zabierali żony, mężów, dzieci, a potem wnuki, za-

lując niepomniernie, że skład nie zatrzymuje się na radzieckich naonczas stacjach i że oni, synowie i córki tej ziemi, muszą ją oglądać wyłącznie zza brudnych okien”.

Często była to nie tylko tęsknota za miejscami, ale również za bliskimi, którzy z jakichś powodów nie wyjechali do Polski i pozostali „w sowietach”. Istniało jednak w Bieszczadach pewne miejsce, gdzie takie rozdzielone granicą rodziny miały szansę się spotkać.

Przygraniczny bruderszaft

Miejscem tym było przygraniczne Krościenko, w którym od lat 60. organizowano co kilka lat wiece przyjaźni polsko-radzieckiej. Na polanie pod lasem w pobliżu granicy ustawiano scenę, na której występowały zespoły ludowe z Polski i ZSRR. Tuż obok wyrastały długie szeregi doskonale zaopatrzone straganów. Całość uzupełniały wydzielone miejsca do wspólnego biesiadowania. Wspomina uczestnik wiecu: „Zobaczyłem mnóstwo wszelkiego jadła:

wędlin, serów, ryb, grzybów, owoców. No i wina, wódki, szampany. Pożerałem te wiktuały oczami. Zwłaszcza pomarańcze, cytryny, winogrona, bo one na co dzień były niedostępne... W kotłach grzały się gorące potrawy: wojskowa grochówka i serdelki, a stoiska handlowe ugięły się od rozmaitych artykułów. (...) Kto chciał, to sobie coś kupował, siadał, pałaszował. A kiedy puszczały pierwsze lody i nawiązywały się rozmowy z Ruskimi, to nagle z teczki i tobolek wyciągali wódkę albo bimber. I wtedy już było fajowo, toasty, bruderszafty, pocałunki... I tak do wieczora, kiedy ludzie rozjeżdżali się do domów. Rosjanie mieli przykazane, że muszą się znaleźć za szlabanem jeszcze przed zachodem słońca”.

W centrum polany zawsze stał samochód z zamontowaną na dachu szkieletką. Przychodzili tam ludzie, którzy chcieli odnaleźć

swych krewnych zza Bugu, i po chwili przez megafon odczytywano ich nazwiska. Rozdzielone rodziny często nie widziały się od lat, wielu straciło już nadzieję na jakikolwiek kontakt z bliskimi. Kiedy więc spotykali się na wiecu, dochodziło do rozdzierających scen. Ludzie rzucali się sobie w ramiona, wybuchali płaczem, a potem umykali gdzieś w bok i obdarowywali się prezentami, wspominali...

Takich wieców było cztery lub pięć. Ostatni w 1979 r. Potem przyszedł burzliwy czas „Solidarności”, stan wojenny, szare lata 80., upadek systemu i, co za tym idzie, koniec odgórnie zadekretowanej przyjaźni polsko-radzieckiej.

Kolonizatorzy

Na opustoszałych po akcji „Wista” polaciach Bieszczad długo panowała pustka. Choć pierwsi osad-

nicy z głębi kraju pojawili się już w latach 50. (po 1956 r. wróciło także nieco Ukraińców i Łemków), intensywniejsza akcja kolonizacyjna rozpoczęła się dopiero w kolejnej dekadzie wraz z budową bieszczadzkich dróg (przede wszystkim słynnej obwodnicy) i gigantycznej zapory na Sanie. Chłopów i robotników werbowano, zachęcając dużo wyższą niż w pozostałej części kraju pensją, która miała zrekompenzować trudniejsze niż gdzie indziej warunki bytowe i surowe zimy. Ludzi przyciągała do pracy w Bieszczadach także dużo większa niż gdzie indziej swoboda. Kierowca ciężarówki złapany „na gazie” gdzieś w Mazowieckiem czy na Lubelszczyźnie narażał się na wysoką karę. Tymczasem w Bieszczadach „królowie szos” przedzierający się przez bieszczadzkie bezdroża radzieckimi ziłami, czeskimi pragami czy polskimi starami z rzadka siadali za kierownicą na trzeźwo, a milicja i tak przymykała na to oko. Nie ma zresztą bieszczadzkiej historii bez wódki, pelerelowskie kresy zdobywano zdecydowanie ze „wspomaganiem”.

W Bieszczadach można było nieźle zarobić, nie tylko pracując w rolnictwie czy na budowie. Spore zyski przynosiło także zbieranie runa leśnego, którym trudnili się liczni osadnicy. Byli też tacy, którzy wyspecjalizowali się w wylapywaniu węży, w Bieszczadach można było bowiem trafić nie tylko na jadowitą żmiję, gniewosza płamistego, ale nawet na jedyne w Polsce dusiciela, czyli węża Eskulapa. Chyba najsłynniejszym łowcą węży działającym przez długi czas na terenie Bieszczad był Michał Radziwonik, który chwycił je gołymi rękoma i pakował do płóciennego worka przerzuconego przez ramię.

Mieszkańcy Bieszczad, zarówno ci starzy, jak i nowo przybyli nigdy nie mieli pewności, jak długo będą mogli żyć w swoich domach w spokoju. Kiedy rozpoczęto budowę tamy na Solinie, przymusowo wysiedlono mieszkańców wielu okolicznych wiosek. W późniejszych latach największym zagrożeniem było jednak rozrastające się „państwo Arłamów”.

Raj prominentów

Człowiek nigdy nie opanował Bieszczad całkowicie. Leśne, góryste ostępy zawsze były królestwem dzikiego zwierza. Kiedy po II wojnie światowej obszar ten się wyludnił, na bieszczadzkiej drodze ła-

twiej było spotkać jelenia czy dzika niż człowieka. Niczym przed wiekami Bieszczady stały się królestwem wilka. Watahy napadały na jelenie, sarny, stada owiec, bydło, nie bały się grasować w ludzkich zagrodach. Dlatego też od końca lat 50. myśliwi wydali wilkom wojnę. W Bieszczadach można było także spotkać prawdziwych władców leśnych ostępów – niedźwiedzia, a później wyhodowanego tu przez człowieka żubra. Nic więc dziwnego, że dzikie Bieszczady stały się mekką myśliwych. W ten sposób zwróciły także uwagę komunistycznych prominentów, dla których polowania były jedną z ulubionych rozrywek, szczególnie z nastaniem epoki Gierka. Wtedy to zdecydowano o utworzeniu w Bieszczadach drugiego w Polsce ośrodka rządowego (pierwszy powstał w podolsztyńskim Łańsku), który miał służyć jako miejsce polowań elity partyjno-rządowej, gości z bratnich krajów oraz tzw. dewizowców, czyli myśliwych z Zachodu płacących dolarami. Ośrodek zajął obszar 23 tys. ha, całość otoczono wysokim na trzy metry ogrodzeniem. Nie obyło się bez ludzkich dramatów. Aby komunistyczni aparatczycy mogli polować w spokoju, wysiedlono mieszkańców aż ośmiu pobliskich wsi.

W Arłamowie niepodzielnie rządził pułkownik Kazimierz Doskoczynski, postać nietuzinkowa, ale nieskończenie antypatyczna. Pochodził z biednej rodziny huculskiej. W czasie wojny przyłączył się do partyzantki komunistycznej, dzięki czemu w PRL szybko awansował, został oficerem, służył w UB. Musiał wzbudzać duże zaufanie wśród komunistycznych decydentów, skoro z początkiem 1952 r. trafił do osobistej ochrony Bieruta. Po niespełna dwóch miesiącach służby został postrzelony przez schizofrenika, który usiłował się wedrzeć do Belwederu. Kule przeszły głowę, płuco i pachwinę (mniej przychylnie dla Doskoczynskiego plotki mówiły, że ostatni pocisk trafił w jądra, i to właśnie miało być przyczyną późniejszej niechęci pułkownika do kobiet). Po wyjściu ze szpitala Doskoczynskiego skierowano do spokojniejszej pracy, najpierw kierował ośrodkiem rządowym w Łańsku, potem powierzono mu organizację Arłamowa.

Ludzi traktował z góry, był bardzo wulgarny, nie znosił sprzeciwu. Potrafił znęcać się nad żołnierzami, a nawet niepodlegającymi mu bezpośrednio milicjantami, jeśli bez pozwolenia przekroczyli granice arłamowskiego państwa. Miesz-



Myśliwi z Europy Zachodniej, płacący za polowania twardą walutą, byli mile widzianymi gośćmi w rządowych ośrodkach w Arłamowie i Muczmem



FORUM/ALEKSAN DER JALO SINSKI

Bieszczady jak magnes przyciągały miłośników dzikiej przyrody. Na zdjęciu jeden z miejscowych żmijolapów

kańców sprzeciwiających się przymusowym wywłaszczeniom wyzywał i zastraszał. Dlatego w Bieszczadach nie cieszył się sympatią, choć ludzie przyznawali, że gospodarzem był dobrym. Konsekwentnie rozbudowywał rządowy ośrodek, przyłączając do niego kolejne rejony Bieszczad, najpierw okolice Trójcy, a potem Muczne (w 1977 r. na jego cześć zmieniono nazwę tej osady na Kazimierzowo). Wielki Łowczy PRL (bo tak go również określano) dbał, aby stali bywalcy Arłamowa tacy jak Piotr Jaroszewicz i Edward Gierek, a także dostojni goście z zagranicy (w Bieszczadach urządzono m.in. polowanie dla Josipa Broz-Tito i brata szacha Iranu Abdula Reza Pahlawi) zawsze wracali do domu zadowoleni. Swoje państwo arłamowskie Doskoczyński widział jako ogromne, zamierzał do swoich włości włączyć całe Wyższe Bieszczady, aż po Wetlinę. Niestety dla

niego, w pewnym momencie Gierek się skończył, a po nim przyszli sztywni i mniej lubujący się w polowaniach ludzie gen. Jaruzelskiego.

Oaza wolności

Choć PRL próbował Bieszczady wchłonąć, zagospodarować i na swój siermiężny sposób ucywilizować, sukcesy władz na tym polu były co najwyżej połowiczne. Kraina ta przyciągała ludzi nie tylko bujną i porażającą swoim pięknem przyrodą, ale także namiastką wolności, o którą w ludowej Polsce było tak trudno. Działała jak magnes na artystów, outsiderów, rewolucjonistów i hipisów, wszystkich tych niepokornych, którzy szukali sensu życia i innej drogi niż ta oficjalnie zadekretowana. Była także schronieniem dla różnego rodzaju niebieskich ptaków, szukających w dzikich ostępach anonimowości.

Już od połowy lat 50. studenci zakładali tu pierwsze bazy namiotowe. – Były Bieszczady krainą wolności, gdzie każdy mógł poczuć się swobodnie. Niby istniały posterunki milicji, strażnice WOP, w gminach działały partyjne komitety, ale teren był na tyle rozległy, że bez obaw mogliśmy rozmawiać o zakazanych tematach, czytać podziemną literaturę, spotykać się z ludźmi uznawanymi przez władze za politycznie podejrzanych – wspomina Witold Michałowski, jeden ze współzałożycieli studenckiej bazy namiotowej w Berehach Górnych.

Znanymi i kultowymi miejscami, których sława sięgała daleko poza Bieszczady, stały się Chata Socjologa na Otrycie i osada w dolinie Caryńskiego. Budowę Chaty Socjologa zainicjowali w 1973 r. studenci wydziału socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, którym przewodził ideowy, wojujący komunista, miłośnik Mao – Henryk Kliszko. Nazy-

wano więc to miejsce „Czerwonym Otrytem” lub też „marksistowskim klasztorem”. Nad własnoręcznie wybudowaną przez studentów chatą powiewał czerwony sztandar, a nad kominkiem stało popiersie Lenina. Jednak jak pisze autor książki „Bieszczady w PRL”, Otryt nie był wyłącznie „czerwony”. Bywali tu również ludzie o poglądach prawicowych np. Jadwiga Staniszkis i Ludwik Dorn, istniał także nurt ukraińsko-nacjonalistyczny. Często gościli tu także młodzi niepokorni z innych państw, zarówno z demoludów, jak i krajów Europy Zachodniej. Studenci w dzień pracowali fizycznie, a wieczorami i nocami toczyli długie i gorączkowe dysputy. Swoboda intelektualna szła w parze ze swobodą obyczajową.

Niezależną osadę w Dolinie Caryńskiego założył w 1975 r. Wierczyśław Nowacki, wizjoner i społecznik, który postanowił w tym urokliwym miejscu stworzyć coś na kształt wioski rolniczej połączonej z ośrodkiem leczenia narkomanów. Odwykiem miała być ciężka praca fizyczna. Na życie zarabiano m.in. zbieraniem runa leśnego, ślimaków, szyszek, uprawiano pola i hodowano owce. Szczególny klimat Caryńskiego przyciągał przeróżnych oryginałów. Jak grzyby po deszczu wyrastały chatki budowane z drewnianych bali, patyków i kamienia. Oprócz leczących się tu narkomanów mieszkali tam społeczni outsiderzy tacy jak hipis-buddysta Artur Lignowski i artyści (między innymi znany rzeźbiarz bieszczadzki świętków Zdzisław Rados). W dolinie zbudowano także kilka zamaskowanych ziemianek, w których od czasu do czasu ukrywali się ludzie uciekający przed władzą ludową lub wojskiem. Osada i jej mieszkańcy byli notorycznie nękani przez milicję, a także przez płk. Doskoczyńskiego (w pewnym momencie Caryńskie znalazło się w obrębie jego arłamowskich włości). Ataki nasiliły się, kiedy Nowaczyński zaangażował się w działalność opozycyjną. Kiedy w końcu trafił na pewien czas do więzienia, Doskoczyński wykorzystał sytuację i pewnej nocy nasłał milicjantów, którzy zniszczyli prymitywną zabudowę doliny Caryńskiego. Mieszkańców osady przepędzono, ale duża część z nich pozostała na terenie Bieszczad. Magia tego miejsca nie pozwoliła im uciec gdzieś dalej.

– Krzysztof Józwiak

Wszystkie cytaty pochodzą z książki Krzysztofa Potaczala „Bieszczady w PRL”, t. 1 i 2, Wydawnictwo BOSZ